

Polska przeszłość jak realizm magiczny

GIOVANNY CASTELLANOS | Kolumbijczyk z Teatru im. Jaracza mówi Jackowi Cieślakowi o przeszłości i planach.

✎: Urodził się pan w Kolumbii, ale od 2005 r. związany jest pan z Olsztynem. Co pana tu zwabiło?

GIOVANNY CASTELLANOS: Pochodzę z bardzo małego miasteczka na pograniczu Andów i Karaibów – miasta bez teatru. Jako dziecko przeczytałem dzieła wielkiego reformatora i teoretyka teatru Stanisławskiego, a czytałem je jak bajki na dobranoc, i była to fascynująca lektura. Wyobrażałem sobie Moskiewski Akademicki Teatr Artystyczny (MCHAT), aktorów, uczniów i samego mistrza Stanisławskiego. Równocześnie czytałem dramaty Brechta i jego notatki z pracy. Myślałem wtedy: Rosja zbyt konserwatywna, Niemcy zbyt nowoczesne, a po środku Polska! Polska ze swoją trudną historią: ten dziwny kraj jedną nogą za żelazną kurtyną, a drugą w strefie marzeń o wolności. Polska, która była i jest mostem kulturowym pomiędzy Wschodem a Zachodem. Przede wszystkim zaś byłem zafascynowanym postacią Jerzego Grotowskiego. Dużo o nim czytałem, a nawet udało mi się zobaczyć fragment rejestracji „Apocalypsis cum Figuris”. To było istne szaleństwo. W Kolumbii wszyscy tracili głowę dla Grotowskiego. Jego proste narzędzia pracy, jednocześnie głębokie intelektualnie, znakomicie się nadawały do naszych realiów. Teatr Grotowskiego był rytualny i ubogi, czyli miał wszystko, co Kolumbijczykowi potrzebne do robienia przedstawień. Odkąd pamiętam, jednym z moich największych marzeń było wyjechanie do Europy, a dokładnie do Krakowa, aby zostać reżyserem teatralnym. I wyjechałem z Kolumbii, mając 17 lat – do Polski, aby studiować na Wydziale Reżyserii w krakowskiej PWST. Wówczas o Polsce wiedziałem niewiele: Grotowski, Kantor, Wajda, Polański, Wałęsa, Juan Pablo II. Może to wszystko. Nie znałem języka, wszystko pływało w obrębie marzeń o spotkaniu mistrzów, aktorów, reżyserów, świadków wielkiej europejskiej historii teatralnej. Chciałem też spotkać ludzi, którzy siedzieli na widowni lub zagrali u Grotowskiego albo

Kantora. Kupiłem bilet w jedną stronę. Zabrałem wszystko, co miałem, zostawiając swoją rodzinę w Kolumbii.

Co się w panu zmieniło w zetknięciu z polską sztuką, a co kolumbijskiego wyostrzyło?

Polski teatr nadal jest dla mnie czymś egzotycznym. To już chyba się nie zmieni. Kiedy wydaje mi się, że już jestem „polski” – okazuję się nagle, że rzeczywistość mnie tak zaskakuje, iż czuję się tak, jak bym był pierwszy rok w Polsce. Polacy mają coś takiego, że historii nie pamiętają albo pamiętają ją tak, jak chcą ją pamiętać. To jest dla mnie czymś dziwnym i niepojętym. To doprowadza do tego, że naród z umiłowaniem ciągle popelnia te same błędy. Tacy jesteście! Dlatego bez względu na to, czy wystawiam Zapolską, Hłaskę czy Mrożka, wiem, że są aktualni. Jednocześnie Polska to mój dom, czyli miejsce, które kocham, gdzie się wkurzam, gdzie się cieszę. Ale muszę przyznać, że patrząc na polską rzeczywistość, czuję się bardzo kolumbijski, bo inaczej rozumiem takie pojęcia, jak naród, patriotyzm, religia.

Zaczął pan reżyserować w olsztyńskim Teatrze im. Jaracza w 2006 roku od „Pętli” Hłaski. Co było dla pana wtedy najważniejsze?

Pierwszy scenariusz powstał jeszcze w szkole teatralnej w Krakowie na zajęciach u profesora Mikołaja Grabowskiego. Łącznie mieszkalem w Krakowie osiem lat, nacieszyłem się tym miastem, ale po latach studiów zaczęło mi się robić duszno, i to nie z powodu smogu, lecz hermetycznego środowiska teatralnego. Miałem wybitnych mistrzów, ale nie chciałem być ich kserokopią. Poza tym w Krakowie każdy wie lepiej i jest „bardziej”. Potrzebowałem własnej przestrzeni i dość szybko wyjechałem. Miałem ogromne szczęście, bo Janusz Kijowski, szef olsztyńskiej sceny, był pierwszym dyrektorem, z którym się umówiłem. Opowiedziałem mu o Hłasce i o „Pętli”. Przeczytał mój scenariusz i bardzo mu się spodobał, ale był też pewnie



MATERIAŁY PRASOWE

zaintrygowany tym, że młody Kolumbijczyk chce opowiadać o dramacie pisarza alkoholika żyjącego w czasach głębokiego PRL. Przed oczami miał film swojego mistrza Hasa ze znakomitym Gustawem Holoubkiem. A jednak mi zaufa! i zaprosił do współpracy. Tak powstała „Petla” w Olsztynie z genialnym Arturem Steranko w roli głównej. Ten spektakl otworzył mi bramę do kolejnych realizacji w Teatrze im. Jaracza. Potem była „Podróż do wnętrza pokoju” Michała Walczaka, czyli kolejny polski autor.

Jak pan wchodził w świat Hłaski?

Musiałem dużo czytać, rozmawiać, oglądać. Mając 27 lat, nie posiadając polskich korzeni, miałem opowiadać o okresie, którego nie miałem okazji ani przeżyć, ani znać z opowieści. To czas, który jest dla mnie fascynujący, być może tak jak dla Polaków realizm magiczny czy opowieści o Pablo Escobarze. Realizm magiczny jest tak zakorzeniony w nas, Kolumbijczykach, że nie zdajemy sobie sprawę z jego siły. To coś normalnego. Kiedy czytamy „Sto lat samotności”, wszystko jest dla nas naturalne i oczywiste. Tak jak

dla Polaków PRL. Czytając Hłaskę, a i Tyrmanda, mogłem poczuć powiew tego, co się tutaj działo i jak się tutaj żyło. Miałem ogromne szczęście, że mogłem przeczytać tych autorów w oryginale i chodzić po ulicach, które są nasączone ich historiami. Tak jak czytać Marqueza i chodzić po ulicach Macondo.

Na czym polegała rola kierownika artystycznego olsztyńskiej Sceny Margines?

Została reaktywowana w naszym teatrze jako scena awangardowa. Mówię „reaktywowana”, bo to sam Stefan Jaracz wymyślił tę przestrzeń jako małą scenę olsztyńskiego teatru. Dyrektor Janusz Kijowski chciał, aby powstawały tu produkcje młodych reżyserów. Dlatego postanowił, że nie będzie bezpośrednio zarządzać repertuarem Sceny Margines, tylko zaprosi do współpracy szefa artystycznego, który zaangażuje młodych artystów do realizacji spektakli i projektów. Kiedy objąłem stanowisko, dążyłem do celu, co było również bardzo ważne dla naszego zespołu aktorskiego, bo aktor rozwija się, pracując z różnymi reżyserami. Podsumowując: młodość i energia weszły do

teatru z całą swoją siłą, a nawet bezczelnością!

Jak ocenia pan minione lata w olsztyńskim teatrze?

Po siedmiu latach prowadzenia Sceny Margines miałem poczucie wypalenia i wrażenie, że formuła się wyczerpała. To było ciężki kawałek chleba zarządzać projektami wysokiego ryzyka, przekonywać i zarażać wszystkich dookoła pozytywną energią. Stawać w obronie idei, projektów, pomysłów. Czulem się, jak bym żył, nie schodząc z barykady. A na barykadzie warto być z ludźmi, którym ufa się bezwzględnie. Tymczasem z młodymi reżyserami jest coraz trudniej. Nie z powodu artystycznej arogancji i bezczelności, które bardzo cenię, ale z powodu braku profesjonalizmu. Bycie nieprzygotowanym stało się modne: to wręcz oznaka wysokiego kunsztu. Błądzą nie z powodu poszukiwań, lecz z powodu totalnej bezradności. To ostatnio bardzo często spotykane zjawisko w polskim teatrze. Przykre. Dużo energii, czasu i pieniędzy marnuje się z tego powodu na co dzień na polskich scenach. Jako szef artystyczny Sceny Margines, dyrektor Festiwalu Teatralnego i najbliższy doradca dyrektora Janusza Kijowskiego w sprawach programowych nigdy nie kierowałem się moim gustem. Spektakle robione przez zaproszonych reżyserów nie muszą być w moim stylu, nie muszą mi się podobać, bo reżyser to indywidualność. Fakt, że czegoś nie rozumiem albo „inaczej bym to zrobił”, nie daje mi uprawnienia do cenzurowania czy destrukttywnej krytyki. Ale wymagam uczciwej i rzetelnej pracy, twórczej atmosfery, planowania i szacunku dla ludzi – ich czasu i życia prywatnego. Na próby moich kolegów i koleżanek chodzę jako widz, bez uprzedzeń. Czasami coś podpowiadam albo zadaję pytania, staram się być blisko

pracy, aby lepiej zrozumieć intencje. Nie przeszkadzam. Wolę być partnerem niż szefem.

A czym się pan zajmuje jako asystent do spraw programowych w Jaraczu i czego możemy się spodziewać w przyszłym sezonie?

Doradzam w sprawach dotyczących zespołu i reprezentuję dyrektora w sprawach artystycznych wewnątrz i na zewnątrz teatru. Pomagam w budowaniu repertuaru, szukam i zapraszam reżyserów, jeżdżę po Polsce i oglądam spektakle. A sezon zapowiada się bogaty i ciekawy. Na początku Igor Gorzkowski wyreżyseruje na Dużej Scenie „Lot nad kukułczym gniazdem”, potem ja zrobię na Scenie Margines „Noc Helvera” Vilquista. Andrzej Majczak zaplanował „Wiele hałasu o nic” Szekspira. Pracować u nas będą również Gabriel Gieztky, Krzysztof Rekowski, Piotr Ratajczak, Marta Streker, Piotr Sieklucki.

Jaki jest Olsztyn?

Olsztyn to mój dom! Tu ukształtowałem się jako reżyser i jako Polak, bo od dwóch lat jestem obywatelem Polski. Tu mam rodzinę, żonę, która jest aktorką, dzieci i mój teatralny zespół. Wychowałem się w Teatrze im. Jaracza, znam tu każdą osobę, z jej problemami, wadami, zaletami, potrzebami. Myślę, że znam też naszą widownię, choć to trudno powiedzieć, bo ona nieustannie się zmienia. Chcemy wyjść naprzeciw jej oczekiwaniom, starając się jednocześnie wychować wymagających i krytycznych widzów. Oczywiście, nie sposób zadowolić wszystkich, ale uczciwie się staramy i ciężko pracujemy, aby Olsztyn był dumny ze swojego teatru. Tym bardziej że to piękne miasto, które szybko i dynamicznie się rozwija. Teatr nie może pozostać w tyle! ☺

➔CV

Giovanni Castellanos (1980), Kolumbijczyk, obywatel RP. Absolwent krakowskiej Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej, reżyser, kierownik artystyczny olsztyńskiej Sceny Marginesy, asystent do spraw programowych dyrektora Janusza Kijowskiego w Teatrze im. Stefana Jaracza w Olsztynie. Olsztynianin. ■